

— Tak.

— Doskonale. Dziękuję panu.

Obejrzał je raz jeszcze dokładniej, poczem pożegnawszy się z towarzyszami, skierował się ku wyjściu. Kiedy już drzwi otwierał, odwrócił się nagle i rzekł, zwracając się z dobrodusznym uśmiechem do Pradesa:

— Życzę panu dobrej nocy.

Ironiczne te słowa wywołały piorunujące wrażenie.

Prades wypreżył się z całych sił i jednym skokiem chciał dosięgnąć ajenta, ale kilka par rąk chwyciło go w przelocie i uniemożliwiło na miejscu, a w parę sekund później został brutalnie odrzucony w głąb pokoju, podczas kiedy ajent, gwiżdżąc coś pod nosem, swobodnym krokiem wychodził z gmachu policyjnego.

Dobry humor nie opuszczał go przez całą drogę. Szedł żywym krokiem wzdłuż ciemnych ulic, gwiżdżąc coraz to nowe skoczne melodie, a ludzie przechodzący obok niego, nigdyby się w tym małym, wesołym człowieczku nie domyślili sławnego Bernardeta, który był postrachem oddalonych dzielnic miasta.

Wyglądał na pocziwego burżuja, wracającego w podnieconym trochę stanie z wesołej jakiejś zabawy. Dopiero podszedłszy o jakie sto kroków pod dom swój, ginący w zmroku ogrodu, przycichł nagle.

— Spią wszystkie. — pomyślał z rozrzewnieniem — Nie trzeba ich budzić. Niechże one chociaż mają noce spokojne, skoro ja, jak ten człowiek bezdomny, włóczyć się muszę nocą po ulicach miasta. Ale przyznać muszę, że dzisiejsza włóczęga moja udała mi się na całej linii. Kiepski jestem, jeżeli mnie jutro rano pan Ginory nie pochwali za tak dobrą robotę.

## X.

Pan Ginory nie był całkiem zadowolony z siebie po wydaniu wyroku aresztowania na Jerzego Montin. Odczuwał pewne wątpliwości i niepokój sumienia.

— A jeżeli się pomyliłem i zasądziłem człowieka niewinnego. — myślał, przechadzając się po swoim gabinecie.

Posiadał on wielką praktykę i rutynę w trudnym swoim zawodzie. Wiedział, że najwinniejsi częstokroć najlepiej umiają doskonale symulować niewinność i posługują się najczęściej uporczywym milczeniem. Na wszelkie zadawane im pytania odpowiadają, że związani są przysięgą i nie odstępają od powziętego postanowienia. Honor i prawość każą im milczeć. Ale do kogo odnosi się ta złożona przysięga, tego wyjawiać nigdy nie chcą. Rozwiązanie sprawy z takimi ludźmi jest bardzo ciężkie do przeprowadzenia. Bronią się milczeniem, nie mogąc znaleźć innego środka ratowania się i zadają tem wiele trudu sędziom zmuszonym wydawać wyrok. Pan Ginory z praktyki swojej znał dobrze tę kategorię winnych i nie przywykł do ludzenia się w kierunku ich niewinności. Ale w sprawie „Rovere” zachodziła ta okoliczność, iż stwierdzono, że oskarżony Jerzy Montin był rzeczywiście najbliższym człowiekiem zamordowanego i przyjaciелеm z lat dziecińczych.

Któż mógł więc zaprzeczyć, że Montin, tak blisko włączony w prywatne życie byłego konsula, nie odebrał kiedyś od niego jakiejś nieznanej nikomu tajemnicy i zaprzysiął przyjacielowi nie wyjawiać jej nigdy?

Co to za tajemnica jednak być mogła? Sędzia śledczy, tak, jak spowiednik, wiedzieć powinien wszystko i tam, gdzie chodzi o życie człowieka, nie mogą być dla niego rzeczy ukręte lub niejasne. Albo też Jerzy Montin nie miał nic ważnego do wyjaśnienia i doskonale odgrywał uplanowaną po przednio komedię, chcąc ukryć swoją winę.

— Bo przecież — rozumował pan Ginory — jeżeli przez jakieś zwierzenie mnie uczynione, mógł rzucić z siebie cały ciężar oskarżenia i odzyskać wolność, to byłby zdecydował się mówić przekonawszy się, że dalsze milczenie jest dla niego zgubne i niebezpieczne.

Pan Ginory nie mógł pojąć, ażeby człowiek całkiem niewinny tak uporczywie i dobrowolnie szkodził sobie i nie usiłował się bronić. Odkrycie portretu pana Rovere w sklepiu pani Colard musiało koniecznie nadać inny bieg całej sprawie i zmienić kierunek śledztwa. Aresztowanie zaś Karola Pradesa przynosiło nowy element niespodziewany i ważny i zaciążyło bardzo nad przekonaniem już ustalonym sędziego śledczego.

Najjutrz po aresztowaniu, przyprowadzone Pradesa do gabinetu pana Ginory'ego. Przedtem jeszcze

musiał przejść przez długie i skrupulatne badanie komisarza policyjnego.

Bernardet oczywiście towarzyszył mu i wyglądał jego poważny i skupiony zdradzał dostatecznie, jak ważną rolę odgrywa w całej sprawie. Powaga ta jednak nie odbierała mu dobrego wyglądu. Był świeży i wypoczęty, jak gdyby noc całą przepędził najspokojniej w łóżku.

Na Karolu Pradesie zaś noc spędzona w aresztach pozostawiła znaki widoczne. Niepokój i lęk musiały daleko odpędzić sen od jego powiek. Bledszy był jeszcze niż dnia poprzedniego i całą jego postawą przybrała jakiś obłądny i dziki wyraz. Przyprowadzony do gabinetu sędziego, trzepotał powiekami, jak człowiek nagle wyprowadzony z ciemności do światła i ledwo mógł się utrzymać na nogach. Powtórzył bez widocznego wahania zeznania swoje, uczynione w nocy w obecności Bernardeta i agentów, ale głos jego donośny nie miał już w sobie dawnych, metalicznych dźwięków. Zduszony był i matowy, a twarz nieugięta, nerwowo wyrażała upór i cynizm.

W gabinecie pana Ginory'ego znajdowała się również pani Colard, którą zawezwano poprzednio. Od pierwszego wejrzenia i bez najmniejszego wahania poznała w Pradesie młodego człowieka, o szarym, dużym kapeluszu, od którego odkupiła portret pendzla Pawła Baudry.

Prades jednak oburzył się na to twierdzenie i zawołał gniewnie:

— To kłamstwo! Nie rozumiem właściwie, o co panom chodzi! Ja nie znam tej kobiety i widzę ją po raz pierwszy.

— Czy i ten portret ogląda pan po raz pierwszy? — zapytał spokojnie pan Ginory, podsuwając mu pod oczy obraz.

— Co to jest? Co to ma znaczyć?

— Nie zna pan tego portretu?

— Nie.

— To portret pana Rovere — odpowiedział sędzia. — Zamordowanego pana Rovere na bulwarze Clichy.

— A cóż to może mieć wspólnego ze mną — zachnął się Prades, wyzywająco podnosząc głowę. Pan Ginory przypatrzył się mu uważnie.

— Pan Rovere był niegdyś konsulem w Buenos-Ayres — wyrzekł powoli.

— I cóż z tego?

— To, że pan wczoraj wspomniął również o tej miejscowości, w czasie prowizorycznego badania w areszcie przy ulicy Rochefoucauld.

— Nie rozumiem — odparł Prades, bawiąc się brzegami swojego dużego kapelusza. — Pan Rovere? Buenos-Ayres? Cóż to za zagadka?

— Żadna zagadka — odpowiedział pan Ginory. — Chcę się tylko dowiedzieć od pana, czy w czasie swojej bytności w tej miejscowości nie poznał pan pana Rovere?

— Co za myśl — zaprzeczył żywo młody człowiek. — Nie byłem nigdy w Ameryce południowej. Przybywam z Sydney.

— Przepraszam pana — wtrącił się grzecznie milczący dotąd Bernardet. — Proszę mi powierzyć na chwilę swój kapelusz.

Mówiąc to, ajent stanowczym i spokojnym ruchem wyciągnął rękę i ujął za brzegi szarą, oryginalny kapelusz Pradesa. Został wynagrodzony za to wściekłym spojrzeniem.

Pan Ginory zrozumiał od razu intencję Bernardeta i uśmiechając się, szepnął nieznacznie:

— Ten dowód jest najważniejszy nieprawdą?

Bernardet uważnie obejrzał kapelusz i podając go sędziemu, zwrócił mu uwagę na napis wydrukowany na podszwewce.

— Gordon Smithson and Co. Berner Street — London — przeczytał głośno pan Ginory. — Był pan również w Londynie? — zwrócił się do młodego człowieka.

— Ten kapelusz kupiony został przeze mnie w Sydney — odpowiedział Prades.

Wobec jednak stanowczych i dokładnych zeznań pani Colard, która już teraz nie obawiała się uchodzić za denucyantkę, młody człowiek powoli zatracał swoją zuchwałość i pewność siebie. Powtarzał ciągle, ciągle słabszym głosem:

Pani się myli! Ja nigdy z paną nie rozmawiałem, ani pani nie widziałem! Bieże mnie pani za kogo innego.

— Ja biorę pana za kogo innego? — zawołała z oburzeniem handlarka. — Ależ tak pewna jestem, że to pan mi sprzedał obraz, jak tego, że żyję na świecie!

— Nie rozumiem pani oporu — odrzekł Prades nerwowo. — Dlaczego chce mnie pani wmieszać w jakąś historię zupełnie dla mnie niezrozumiałą?

— Oh, wielkie nieba! Ten człowiek zarzuca mi kłamstwo! — zaliła się pani Colard, zwracając się

do sędziego. — Wiedząc pan o tem, że nawet pod samą gilotyną twierdzić będę, że to pan mi odsprzedał ten nieszczęsny portret!

— Panie sędzio, proszę mi wierzyć! To on, to on niezawodnie! Ja się nie mylę!

Pierwsze badanie Pradesa nie przyniosło zresztą żadnego wybitnego rezultatu.

Po jakimś czasie pan Ginory zamyślił się głęboko. Doszedł tylko do jednego wniosku: Jeżeli rzeczywiście portret pana Rovere był w posiadaniu Pradesa, to niezawodnie ten był współnikiem Jerzego Montin. Należało więc obydwóch skonfrontować ze sobą, a wtedy rzecz cała może się wyjaśnić. Pan Ginory myślał, czyby natychmiast spotkania tego nie zarządzić, zanim jeszcze Prades, tak jak Montin, nie zostanie odprowadzony do więzienia w Maras.

Pan Ginory zawołał Bernardeta i przyciszonym głosem przedstawił mu swój plan. Prades musiał coś dosłyszeć z tej krótkiej rozmowy, bo nagle drgnął całym ciałem i lęk rozpaczliwy wykrzywił twarz jego pobladłą. Cofnął się szybko, jak gdyby ujrzał jakie widmo i wybelkotał z trudem, wpatrując się w sędziego rozszereżonego od zgrozy oczyma:

— Więc... pan nie chce... mi wrócić wolności!... Chcecie mnie tu zatrzymać?

Sędzia dostrzegł zmianę jego twarzy, ale nie odpowiedział ani słowem. Stanowczym, rozkazującym głosem wydał rozkaz, aby przyprowadzono bezwzględnie Jerzego Montin z więzienia i strzeżono bacznie Pradesa.

— — — — —

Kilka dni pobytu w murach zimnych i wilgotnych uczyniły już z Jerzego Montin człowieka pozbawionego sił i chorego. Wysmukła i dumna jego postawa znikła gdzieś zupełnie. Czarne jego oczy straciły dawny blask i siłę, a głowa pochyliła się nisko na piersi, jak gdyby zwalczona straszonym jakimś ciężarem. Nie był to już dawny, wyniosły i pewny siebie Jerzy Montin, przyjaciel pana Rovere, lecz człowiek, na którym śmiertelne oskarżenie pozostawiło już ślady niezatarte.

Na widok jednak dozorców, wchodzącego do jego celi, wyprostował się ostatkiem sił i energii i z dumnym spokojem wysłuchał jego rozkazu. Jakaś nagła reakcja wstąpiła w niego, nadając mu na chwilę dawną sprężystość ruchów i zuchwałość spojrzenia. Siedział bez słowa wzdłuż wąskich, ciemnych korytarzów, unosząc wysoko głowę, jak człowiek gotujący się do nowej walki.

Na widok karetki więziennej, stojącej przy wyjściu, i mającej go zawieźć do pałacu sprawiedliwości, silne drżenie opanowało go i oczy zabłyśły tłumionym gniewem. Opanował się jednak szybko, wsiadł bez oporu i wóz ruszył, podskakując brutalnie na nierównościach bruku, uwożąc go ku nieznanemu przeznaczeniu.

Przez całą drogę nie przerwał milczenia, nie zwrócił się ani jednym słowem do dwóch dozorców towarzyszących mu.

Myśl, że znajduje się tak niedaleko ruchliwego życia innych ludzi, że widzi ulice, po których niedawno jeszcze przechadzał się wolny jak ptak, a tak dalekim być musi od tego wszystkiego, co go otaczało, wywoływało w nim podniecenie nerwowe i gniew głuchy.

Cofnął się nagłym ruchem w głąb karetki. Powietrze nawet, które wdychał tak, jak inni, ale przez grubą, silną kratę żelazną, drażniło go niewymownie. Przecież tą samą karetką przewożono tak często zbrodniarzy ostatniego rzędu i zdawało mu się, że czuje ich gorączkowy oddech i słyszy przekleństwa i groźby, rozlegające się jeszcze w tym pudle zaopatrzonym kratami i wydającym jakąś dziwną woń zgnilizny.

Wrażenie to było tak silne, że w pewnej chwili uczuł zawrót głowy i oślabiony, blady, usunął się bezwładnie na siedzeniu.

— A co tam znowu? — zamruczał niezbyt grzecznie jeden z dozorców, pochylając się nad nim. Wyglądasz tak, jakbyś się upił, mój przyjacielu.

Ale już Montin prostował się i przybrał zimny, obojętny wyraz twarzy.

— Nic mi nie jest — rzucił krótko, przesuwając ręką po zwilgoconem czole.

Nareszcie karetką stanęła przed gmachem sądowym. Jerzy Montin rozpoznał schody i korytarze, którymi po raz pierwszy szedł, udając się do gabinetu sędziego. Wówczas był jeszcze wolnym człowiekiem! Wezwano go jako świadka! Kiedy teraz iść musi jako oskarżony, posłyszeć może wyrok swój ostatni. Zuchwały i ironiczny uśmiech przebiegł po jego twarzy, nadając jej dawny charakter.